TOŻSAMOŚĆ · OPINIA

NOWY DYSKURS PRZEBUDZENIA

Adam Witczak · 23 maja 2024



Trwająca wojna w oczywisty sposób doprowadziła do przetasowania tematów, które przewijają się w krajowej debacie publicznej. Nie jest to szczególnie zaskakujące: taka już jest natura wydarzeń przełomowych. Wojna sama stała się priorytetem: jako zjawisko tyleż wyjątkowe (w bezpośredniej bliskości naszych granic, biorąc pod uwagę więcej niż siedem ostatnich dekad), co i znaczące, bo oddziałuje na życie w jego najbardziej podstawowych, namacalnych przejawach.

W kontekście *woke culture*, o której będziemy tu mówić, jest to bardzo istotne, ponieważ aktualna sytuacja pokazuje, że w sytuacjach kryzysowych do głosu dochodzą rozróżnienia najbardziej fundamentalne, odnoszące się do kategorii takich jak naród i plemię, jak swój i obcy, jak biologiczne przetrwanie, jak wybory moralne związane z przemocą i zdradą. U nas to, rzecz jasna, nadal gra w pokera na zapałki, ale nasi wschodni sąsiedzi już zupełnie bezpośrednio padli ofiarą tego doświadczenia.

Może się więc wydawać – i zapewne tu i ówdzie taki pogląd się pojawia – iż wojna obnaża abstrakcyjność tematów podnoszonych przez *woke*, ich oderwanie od prostej, szorstkiej rzeczywistości, naznaczonej pierwotnymi kryteriami, o których mowa była wyżej. Z tej perspektywy problemy rodem z amerykańskich kampusów (takie jak „instytucjonalny rasizm", „ableizm", „fatfobia" czy „zawłaszczenie kulturowe") jawią się jako fanaberia znudzonej młodzieży z wielkomiejskiej klasy średniej, zblatowanej z podstarzałymi akademikami, budującymi wywrotowe teorie na uniwersyteckich katedrach.

Bagatelizowanie zjawiska *woke* ze względu na okoliczności, które tymczasowo przybliżyły nas do elementarnego patriotyzmu (włącznie z mitami o dzielnych bohaterach, broniących godła i flagi), byłoby jednak przedwczesne. Dość powiedzieć, że kultura przebudzenia przenika także i do narracji wojennej, *vide* omawiane w zupełnie głównonurtowych mediach kwestie w rodzaju transpłciowych uchodźców czy sytuacji „nieheteronormatywnych" żołnierzy. Co więcej, świat, który nastanie po wojnie (przy założeniu, że ograniczy się ona do środków konwencjonalnych), będzie światem, w którym kultura *woke* usytuowana zostanie jednoznacznie po stronie „Wielkiego Dobra" (tj. Zachodu, Ameryki, Europy, demokracji etc.). Tymczasem pozycja obyczajowego konserwatyzmu będzie znacznie mniej oczywista albo i wprost podejrzana: jako rzekomo zbliżona swą pojęciowością do toposów „ruskiego miru".

CZYTAJ TAKŻE: Koniec ruskiego miru? Kilka myśli po lekturze książki Piotra Skwiecińskiego

W rzeczywistości przedwojennej, a zarazem zupełnie niedawnej, „kultura przebudzenia" zdążyła już wzbudzić konsternację nie tylko wśród konserwatywnej prawicy, lecz także w centrowym obozie liberalnym. Dość przypomnieć, że teksty na jej temat – i to teksty krytyczne, momentami zresztą przenikliwe – ukazywały się choćby na łamach „Kultury Liberalnej". Pismo to poświęciło zjawisku *woke* numer 684, w którym Wojciech Engelking badał paralele pomiędzy radykalizmem omawianego nurtu a fanatycznym domaganiem się czystości myśli i czynów przez ruchy protestanckie doby reformacji. Pozwólmy sobie tu na obszerny cytat:

„Czy przewina, za którą staje się przed trybunałem mediów społecznościowych, jest wielka czy niewielka, czy idzie o wyrażenie wątpliwości co do roszczeń osób transpłciowych czy wieloletnie gwałty, kara w postaci anulowania jest ta sama. Ba: często przewina nie musiała faktycznie zaistnieć: wystarczy, że ktoś podejrzewa, że zaistniała, a osoba wykluczonego ściąga na niego podejrzenia, iż zaistnieć mogła. Uszeregowanie czynów (i podejrzeń) w prawnokarną hierarchię wykroczeń, występków, zbrodni – nie istnieje. Z tego względu przewina w woke przypomina kategorię religijną: grzechu. Przypomina ją wszakże w intrygujący sposób, bo również nie taki, w którym grzech dzieli się na – mówiąc za świętym Augustynem – crimina levia i crimina letalia. Budzi raczej skojarzenie z takim o przewinach myśleniem, które wykoncypował doktor Marcin wkrótce po przyjęciu święceń kapłańskich, kiedy targała nim Anfechtung (walka wewnętrzna), a które później zastosowano w ruchu purytańskim. [...] Wedle postulatów woke, na Sąd Ostateczny – zdarzenie, gdy niekonsekwencji nie będzie nawet na miligram; będzie „tak, tak, nie, nie" – nie trzeba czekać. W swej świeckiej wersji trwa on tu i teraz i jest tak wiecznym, jak i teraźniejszym rozliczeniem – dokonywanym w celu wykucia swych postulatów nie przez zbudowanie zgodnego z nimi programu politycznego, lecz przez potępienie praktyk, które tym postulatom przeczą[1]".

Zdaje się, że to właśnie liberałowie najlepiej wyczuwają tę subtelną różnicę, jaka zachodzi pomiędzy współczesnym *woke* a klasycznym liberalizmem centrum (bo raczej taki, zabarwiony demokracją, konstytucją i szczyptą wrażliwości socjalnej, mamy tu na myśli niźli ten z rdzenia libertariańskiego). Otóż ów klasyczny liberalizm obiecywał błogostan, w którym wreszcie będzie można żyć *prywatnie*, a style czy modele życia prywatnego staną się kwestią osobistego wyboru. Problemy podnoszone na publicznej agorze miały odnosić się jedynie do tego wąskiego obszaru, na którym mogłoby dochodzić do konfliktu jednostek. Wykluczone z dyskursu, w tym również za pomocą mechanizmów prawnych, miały być tylko ewidentne ekstremizmy, w oczywisty sposób burzące ten porządek. Ba, nawet i w tej materii nie było jednomyślności: do dziś spotkać można rzadkie okazy liberałów na tyle konsekwentnych czy też uczciwych intelektualnie, by domagać się pozostawienia w spokoju nawet i „ekstremistów", dopóki ograniczają się

oni tylko do słów bądź rezydują na swoich prywatnych posesjach.

> Tymczasem wykwitła w ostatnich latach kultura *woke* zanegowała ten aksjomat prywatności. Nagle „wszystko stało się moralne", jak zauważył Tomasz Sawczuk we wspomnianej już Kulturze Liberalnej[2]: „Jeszcze niedawno jedliśmy, ubieraliśmy się i podróżowaliśmy, jak chcieliśmy – i nikogo to nie interesowało. Dzisiaj stało się ważne, czym jadę, w co się ubieram i co zjem na obiad – dajmy na to, czy będzie to mięso. Chcemy czy nie – w każdej z tych spraw trzeba się opowiedzieć".

Jest zresztą pewna logika w tej nowej postawie, postawie przebudzenia, przejawiającej się zarówno w zamieszkach wszczynanych przez Black Lives Matter, jak i w stopniowym, ale bardzo systematycznym zawłaszczaniu języka np. przez aktywistów ze środowisk mniejszości seksualnych. Chodzi tu przede wszystkim o zasadę prewencji: w opozycji do zasady represji rozumianej jako reagowanie na już zaszłe i zarazem bezpośrednie naruszenia liberalnych norm. Albowiem liberalna koncepcja tolerancji koncentrowała się na owej sławetnej relacji pomiędzy „moją pięścią" a „końcem twojego nosa". To oczywiście hamowało, a niekiedy nawet i paraliżowało postęp: pozwalało bowiem, by nieprawomyślni (tj. sanfedyści, fundamentaliści, ultrasi, reakcjoniści, klerykałowie) tłumaczyli się tym, iż operują jedynie w danej im sferze wolności, nie atakując nikogo fizycznie i nikomu nic wprost nie zabraniając.

Woke chce więc ukrócić tę swobodę, zdając sobie sprawę z tego, że w gruncie rzeczy nie po to wymyślono liberalizm i nowoczesność, by *autentycznie* dać tradycjonalistom wolność głoszenia obskurantyzmu (jako jednej z dostępnych opcji światopoglądowych). Istotą było raczej to, by w jakiś sposób odizolować reakcję od głównego nurtu bądź też stopniowo przekonać ją do postępu. Jeżeli jednak dyskurs konserwatywny nieoczekiwanie wywalczy sobie miejsce w debacie publicznej, to siłą rzeczy będzie powstrzymywać progresywne procesy sekularyzacji czy rozmywania „opresyjnych" kategorii – takich jak płeć. Innymi słowy, mógłby zaistnieć, zatriumfować lub przynajmniej zbyt wolno zanikać ostracyzm konserwatywny, przyjmowany dobrowolnie przez większość społeczeństwa i niestosujący (formalnie rzecz biorąc) bezpośredniej agresji wobec mniejszości.

Na to w optyce „przebudzenia" nie możemy sobie pozwolić. Stąd też przyjmuje się, że podejrzany jest każdy, kogo poglądy lokują się poza wąskim spektrum dopuszczalności, na bieżąco określanym przez samozwańczych cenzorów występujących z ramienia *woke culture.* Podejrzany o to, że od słów przejdzie do czynów, do przymusu i przemocy. O to wreszcie, że wszelka jego aktywność jest, będzie lub przynajmniej może być naznaczona jego uprzedzeniami. Tym można tłumaczyć żywą aktywność „przebudzonych" w dziedzinie *doxxowania* i *cancelowania* upatrzonych ofiar np. w miejscu pracy. Dzieje się to nawet wtedy, gdy praca ta nijak nie wiąże się z polityką – i gdy nie ma żadnych dowodów na to, by poglądy domniemanego homofoba, rasisty czy mizogina miały przełożenie na jego relacje ze współpracownikami i klientami. Wystarczy samo ryzyko, że może tak być – choćby i w przyszłości. Zresztą po raz kolejny zaznacza się w tym purytański i parareligijny rys *woke*: prewencja jest w gruncie rzeczy tylko pretekstem. Większe znaczenie ma samo ukaranie winnych nieprawomyślności. Dochodzi w ten sposób do iście rytualnego oczyszczenia, do potwierdzenia, że *ten nie jest już z nami*.

Na tej samej zasadzie w ramach *woke culture* zatracone zostaje rozróżnienie na to, co *publiczne*,i na to, co *prywatne*. Ta dystynkcja staje się *boomerska*, nieledwie *dziaderska*. Pewnym uzasadnieniem jest fakt, że sam charakter internetu i mediów społecznościowych narzuca (jakoby) tę nową perspektywę. W rzeczywistości jednak to od nas zależy, co zrobimy z techniką. Związek pomiędzy dyskusjami prowadzonymi po godzinach, w szczególności na prywatnym profilu, a innymi aspektami życia (jak praca czy aktywność w klubie hobbystów) nie jest niczym oczywistym. A jednak takim staje się w perspektywie „przebudzonych".

Zasięg tego, co polityczne i moralne, nieustannie się poszerza, co niewątpliwie musi przerażać tych liberałów, którzy chcieliby jeszcze zachować prawo do strogonowa i devolaya, ale już wiedzą, że nie będą mogli: ponieważ wybór między mięsem a weganizmem *nie jest* moralnie i ideologicznie neutralny.

Paradoksalnie *woke culture* wraca w ten sposób do dyskursu, który w liberalizmie miał zaniknąć: a mianowicie do pytania o to, jaka jest obiektywna prawda i kto *po prostu ma rację*. Zauważmy, w jaki sposób definiuje „kulturę przebudzenia" wspomniany już Engelking:

„[...] woke'owe zasady to zasady z gruntu niesformalizowane. Ktokolwiek jednak nie jest abnegatem w dziedzinie współczesnych wojen kulturowych, potrafi kilka wymienić. Więc: obsesyjne skupienie na podkreśleniu społecznych różnic wynikających z przynależności do grupy zdewaloryzowanej (rasowej, seksualnej, genderowej, szczególnie osób trans). Więc: radykalna względem tych grup empatia. Więc: olbrzymia niechęć do elit (definiowanych finansowo, ale nie tylko) oraz grup tradycyjnie waloryzowanych (białych, heteroseksualistów, mężczyzn)".

OGLĄDAJ TAKŻE: Woke – chwilowa moda czy rewolucja? Jak wpłynie na Polskę? Konstanty Pilawa, Kacper Kita

Znamienne, że kryterium *nie jest* tak naprawdę „mniejszościowość" sama w sobie czy też „marginalność" jakiegokolwiek rodzaju. To byłoby (przynajmniej formalnie) ujęcie klasycznie liberalne, ujęcie oparte na założeniu, że każdy (poza być może zadeklarowanymi fanami malarza z Braunau am Inn) powinien mieć prawo się wypowiedzieć i że ci, których jest mniej, którzy są słabsi, powinni znajdować się pod szczególną ochroną.

W rzeczywistości jednak *woke culture* nie ma przecież zamiaru chronić tradycjonalistów katolickich czy (prawdziwych lub rzekomych) białych suprematystów. To właśnie te i podobne grupy są (w rozumieniu koryfeuszy „kultury przebudzenia") z natury rzeczy uprzywilejowane, dominujące i opresywne. Jest tak, nawet jeżeli w danym miejscu i czasie stanowią margines, sprawiają wrażenie osłabionych i przebrzmiałych. W tym sensie przypomina to marksistowskie rozumienie proletariatu. Proletariat nie dlatego nim jest, że jest biedny i udręczony. To rzecz wtórna i ostatecznie niekonieczna: to, co jest prymarne, to fakt, że burżuj (kapitalista) zabiera wartość dodaną proletariuszowi. Analogicznie, burżuja (i tak samo obszarnika czy ziemianina) nie ratuje fakt, że jest bankrutem albo ma mizerny majątek. Sam jego sposób funkcjonowania (a nawet pochodzenie, na mocy którego dziedziczy określone przywileje, niezależnie od tego, jak potem je wykorzysta) pozycjonuje go w roli antagonisty klasy robotniczej. Na podobnej zasadzie trzecioświatowi maoiści (których niewielka reprezentacja była w naszym podziemiu politycznym głośna więcej niż dekadę temu) uznali, że autentycznym proletariatem jest teraz cała ludność Trzeciego Świata (wyłączywszy kompradorską burżuazję). Z tego powodu nieźle sobie radzący drobny przedsiębiorca z Laosu czy Haiti jest w większym stopniu proletariuszem niż biały bezdomny z Paryża.

The same here. W koncepcji „kultury przebudzenia" homoseksualny, czarnoskóry wykładowca akademicki z niezłą pensją, żyjący w cieplarnianych warunkach i wydający książki tłumaczone na liczne języki, jest *represjonowany*: natomiast *white trash* po publicznej podstawówce, głosujący na Trumpa i mieszkający w przyczepie kempingowej, to strona *opresywna*. Z tego powodu, jak wiemy, nie jest np. możliwy „odwrócony rasizm". Są możliwe pewne nienawistne (ale zrozumiałe) zachowania czarnych względem białych, jednak rasizm może istnieć tylko w jedną stronę, albowiem z definicji zawiera w sobie komponentę *systemowości*, a *system* z założenia faworyzuje białych (najbardziej zaś białych, sprawnych, heteroseksualnych mężczyzn z klasy średniej).

Pokazuje nam to, że dyskusja, która tak często przewija się w polskich mediach, jest jałowa. Toczą się niekończące spory o to, *kto kogo* zdyskryminował, kto był w danej sytuacji ofiarą (czy propagatorzy „tęczowych Maryjek", czy może ich oponenci ze środowisk katolickich), słowem: kto zaczął, co jest odwiecznym pytaniem rodem ze szkolnego korytarza lub po prostu piaskownicy. W rzeczywistości jednak debata powinna przebiegać zupełnie inaczej: i to ze względu na to właśnie, jak ustawia ją strona *woke*. Mianowicie powinna to być dyskusja o tym, kto *ma rację* w sporze światopoglądowym. Innymi słowy, które wartości, modele życia i obyczaje powinny być uznane za fundamentalne, obiektywnie prawdziwe i dobre, a które – za złe i wykluczone. A wówczas, jeżeli mielibyśmy być symetryczni względem „przebudzonych" – wykluczone całościowo, publicznie i prywatnie, w słowach, uczynkach, myślach, ale i zaniedbaniach. W istocie zresztą te ostatnie pełnią znaczącą funkcję w narracji *woke*. Zgrzeszyć przeciwko „inkluzywności" można nie tylko przez to, co się powiedziało, lecz także przez to, że się milczało. Mało tego, zgrzeszyć można także poprzez nieopatrzną próbę budowy własnej wersji inkluzywności, o ile zostanie ona posądzona np. o patriarchalizm i protekcjonalność względem uciskanych grup.

Nie trzeba dodawać, że mało kto ma ochotę na taką debatę: strona liberalno-lewicowa nie widzi jej potrzeby, z góry zakładając, że strona konserwatywna nie może być traktowana jako uprawniony partner; prawica zaś najprawdopodobniej bałaby się postawienia sprawy w tak jednoznaczny sposób. Bałaby się przyznać do tego, że chce przewodzić, ponieważ posiada rację obiektywną, a nie tylko „swoją rację", przeznaczoną co najwyżej do wdrażania na swoim wydzielonym terytorium.

W rzeczywistości zatem *woke culture* nie jest, w przeciwieństwie do klasycznego liberalizmu, kolejną próbą organizacji społeczeństwa tak, by z grubsza *wszystkim* żyło się *możliwie dobrze* i tak, abyśmy się „wzajemnie nie pozabijali". Istota zagadnienia jest inna: *woke* chce zbudować pewną dość konkretną kulturę, z bardzo ścisłymi normami tego, co dobre, i tego, co złe; a to, co dobre, powinno obowiązywać całościowo: publicznie i prywatnie, od polityki gabinetowej po język, dietę czy ubiór.

> Wszystko stało się polityczne i wszystko stało się moralne. W tym sensie *woke* rzeczywiście może stawać w szranki z integrystami katolickimi i protestanckimi fundamentalistami, a jedni i drudzy budzić będą przestrach wśród rzeczników centrum i „zdrowego rozsądku".

Rzecz jasna, przy budowie tej nowej kultury *woke* wikła się w pewne paradoksy. Obserwatorom z zewnątrz jawią się one jako sprzeczności, a w najlepszym razie jako niekonsekwencje i przejawy nieuczciwości intelektualnej, ale to chyba pozory. Jeżeli bowiem raz już ustalimy, że tolerancja (a więc *de facto* akceptacja) dotyczyć może tylko tych modeli życia, tych mikronarracji, które są opozycyjne względem obiek-

tywnego zła, jakim jest zachodni, chrześcijański i postchrześcijański konserwatyzm, zespolony z ogólnie pojętym kapitalizmem, to wówczas nie będzie żadną niekonsekwencją wysłuchanie głosu mniejszości seksualnych i jednoczesne zamknięcie ust „represywnej" mniejszości religijnej. Nieuczciwość pojawi się jedynie wtedy, gdy rzecznik „przebudzenia" będzie mimo wszystko zapewniać o swojej bezstronności i o uniwersalności promowanej przez siebie tolerancji. Taki obraz przedstawia się jednak tylko w najbardziej mainstreamowych mediach, gdzie *woke* sprzedawany jest jako naturalny wniosek z (ogólnie przecież akceptowanej) wizji liberalnej. A nawet jako „oczywista oczywistość", „zwyczajna postawa przyzwoitego człowieka" czy też zespół faktów „stwierdzonych naukowo". Wystarczy jednak zejść głębiej, do fundamentów filozoficznych, by przeczytać deklaracje zupełnie jawnie przyznające, że oczywiście nie ma żadnej symetrii pomiędzy dobrem a złem. W tym sensie *woke culture* mogłaby honorowo podać sobie ręce z papieżami doby ultramontanizmu.

Osobną kwestią jest oczywiście to, że nie zawsze łatwo określić, która tożsamość jest opresyjna, a która represjonowana. Stąd wątpliwości co do tego, czy konserwatywnym (niekiedy zgoła fundamentalistycznym) mniejszościom etnicznym należy pozwalać na uskutecznianie u siebie przemocowego patriarchatu, czy też lepiej byłoby interweniować w ich wewnętrzne sprawy (co z kolei byłoby pewną formą kolonializmu i paternalizmu). Co jakiś czas okazuje się zresztą, że ten czy ów dziennikarz, polityk czy ktokolwiek inny, spóźnił się na aktualizację bieżącej narracji i popełnił *fatalną pomyłkę*. Chciał dobrze, ale nie dostrzegł, że w danej kwestii w ogóle nie ma prawa się wypowiadać (np. jako biały mężczyzna), albo niepoprawnie rozeznał stosunki władzy pomiędzy skonfliktowanymi grupami.

Co do źródeł i fundamentów omawianego nurtu, to postanowił się im przyjrzeć m.in. James Lindsay, matematyk, filozof, publicysta i autor swego rodzaju encyklopedii języka *wokizmu*, znanej jako *New Discourses: Translations from the Wokish*[3]. Ambicją autora jest prześledzenie tego, w jaki sposób „przebudzeni" wykorzystują najbardziej elementarny poziom, to znaczy język, do forsowania swoich idei. Autor występuje tu, co istotne, bynajmniej nie z pozycji konserwatysty. Przeciwnie: punktem wyjścia jest dla niego raczej jakaś forma klasycznego liberalizmu, osadzonego tyleż w nauce, co i w pewnych zdroworozsądkowych założeniach, koniecznych do jej uprawiania, a nierzadko odrzucanych przez postmodernizm: jak np. to, że rzeczywistość istnieje i jest w znacznym stopniu poznawalna. Swoją drogą, stosunek *woke* do nauki jest dwojaki: przydaje się ona, gdy uzasadnia określone postulaty *woke* (np. gdy rzekomo wykazuje względność kategorii płci czy istnienie wielu równoprawnych „orientacji seksualnych"), ale może zostać odrzucona wszędzie tam, gdzie jej wnioski nie są zgodne z *teorią krytyczną* i gdzie można jej przypisać ukryte posługiwanie się założeniami ksenofobicznymi, męskocentrycznymi, rasistowskimi, transfobicznymi itd.

Podobnie paradoksalny jest fakt, że *woke* z jednej strony deklaruje walkę z uprzedzeniami rasowymi i emancypację jednostki, a z drugiej – ze swoją obsesją na punkcie pochodzenia, przynależności grupowej, dziedziczonych przywilejów lub obciążeń cofa się niemalże do przednowoczesnych czasów plemiennych. Antyrasizm w żadnym razie nie oznacza tu zniesienia kategorii rasy: polega raczej na rozpoznaniu niesprawiedliwej hierarchii ras i etnosów oraz na jej odwróceniu bądź przynajmniej bliżej nieokreślonym wyrównaniu. Owo wyrównanie też jest problematyczne, niezależnie od tego, czy dotyczy rasy, czy np. orientacji albo płci. Już zupełnie jawnie teoretycy *woke* przyznają, że nie chodzi im o nominalną równość szans, rozumianą w sensie prawnym. To byłoby zwyczajne *equality*, podczas gdy ich ambicją jest *equity*, równość autentyczna, powstała dlatego, że zniesiono nie tylko formalne bariery prawne, lecz także wszel-

kie inne „niesprawiedliwe" czynniki różnicujące. W tym np. czynniki związane z dziedziczeniem majątków i kompetencji, wynikające z mniej lub bardziej skomplikowanej przeszłości danej grupy i całego społeczeństwa. Zdaniem Black Lives Matter wyzwolenie niewolników czy nawet zniesienie segregacji na Południu to puste gesty, jeżeli nie dojdzie do wyrównania krzywd z kilku stuleci, do swoistego zadośćuczynienia, jakie kolorowym winni są biali. Są zaś winni przez samo to, że ich białość czyni ich dziedzicami opresyjnych struktur i przywilejów. W istocie powinni nie tylko oddać tyle, by powstała równość, ale dostatecznie dużo, by ponieść dodatkową karę. W tym świetle zrozumiałe stają się owe ekspiacyjne litanie celebrytów i polityków, przyznających pokornie, że – jako białym, wykształconym itd. – nie tylko nie jest im wolno więcej, ale wręcz wolno im *mniej.* Mniej wolno mężczyznom, przynajmniej gdy wypowiadają się w tematach w jakiś sposób dotyczących kobiet. Mniej wolno „dominującym religiom" – i tak dalej.

Wspomniany Lindsay postawił sobie za cel sklasyfikowanie i opisanie głównych pojęć, którymi operuje się w kręgu „kultury przebudzenia". Jest ich sporo: autor spisał ich kilkaset, aczkolwiek na razie tylko część została opracowana. Część, jak się wydaje, niewielka, choć istotna merytorycznie. Mamy więc szczegółowe omówienia takich terminów jak: *bias* (stronniczość: w domyśle stronniczość, być może podświadoma, prowadząca do preferowania białych, heteronormatywnych mężczyzn), *acting white* (kiedy osoba kolorowa, przede wszystkim czarna, przyjmuje modele życia białych: w dobrej wierze lub cynicznie, niejako zdradzając w ten sposób swój własny etnos), *cancel culture*, cisnormatywność, teoria krytyczna, dekonstrucja (w sensie Derridy i innych postmodernistów), opresja epistemiczna, fałszywa świadomość, fatfobia, hegemonia, inkluzja, intersekcjonalność, mikroagresja, narracja, kolorowość (*people of color*), konstrukt społeczny, biała kruchość (*white fragility*). To, że przedsięwzięcie jeszcze nie zostało zakończone i cały czas się rozwija, nie powinno dziwić. Każde hasło jest bowiem miniesejem. Taki esej zawiera precyzyjny opis tego, jak dane pojęcie jest wykorzystywane w kulturze *woke* i w jakim sensie mamy tu do czynienia z manipulacją.

CZYTAJ TAKŻE: O zbudowanie siły narodowej między Rosją a Niemcami. Co mieli nam do powiedzenia Brzozowski, Dmowski, Doboszyński, Malatyński, Rybarski i Stachniuk

Za rdzeń *woke* Lindsay uznaje tzw. teorię krytyczną, którą on sam wprost nazywa często Teorią. Bazą jest tu często przywoływana także i u nas szkoła frankfurcka (Horkheimer, Adorno, Marcuse), a więc marksistowska czy też postmarksistowska. Za równie prawowite źródło *woke* Lindsay uznaje jednak także szeroko pojęty postmodernizm: przez co należy rozumieć tu zwłaszcza pisma Derridy i Foucaulta, to znaczy teorię dekonstrukcji czy strukturalizm. Oczywiście można tu się pokusić o pewne precyzyjniejsze rozróżnienia i zresztą sam Lindsay ich nie unika:

„Pojęcie „Teorii Krytycznej" często rodzi nieporozumienie, ponieważ może się odnosić zarówno do szkoły frankfurckiej, wliczając w to György Lukácsa, Maxa Horkheimera, Theodora Adorno i Herberta Marcuse [...], jak i do podobnych, ale jednak odmiennych krytycznych teorii społecznych, jak choćby te, których korzenie tkwią w postmodernizmie; można tu wymienić np. teorię postkolonialną, teorię queer, krytyczną teorię rasy, intersekcjonalny feminizm, badania nad niepełnosprawnością [disability studies] czy badania nad otyłością [fat studies] [...]."

Szczegółowa klasyfikacja zależności pomiędzy owym „marksizmem kulturowym" szkoły frankfurckiej a postmodernizmem (którą to nazwę mało kto zresztą traktuje jako autodeskryptywną) nie jest zresztą klu-

czowa. Z pewnością w odniesieniu do *woke* sprawdza się nie tak znów nowatorska, ale wciąż sensowna teoria o „zastępczym proletariacie", którym – w miejsce robotników – mieliby się stać czarni, kobiety, mniejszości seksualne etc. Zresztą nawet koncept fałszywej świadomości został przeniesiony na owe nowe grupy marginalizowane. Znów mamy tu pewien paradoks, bo równocześnie za najbardziej wiarygodny opis dyskryminacji uznaje się *lived experience*, osobiste doświadczenie, z natury rzeczy subiektywne. Co jeżeli to doświadczenie byłoby sprzeczne z teorią o sieci opresji i dominacji? Zapewne mielibyśmy wówczas do czynienia z *acting white* lub inną formą czy to braku uświadomienia, czy ulegania presji ze strony grup dominujących.

> Przynależność już może nie do klasy, ale do rasy (bądź do grupy wyróżnionej równocześnie ze względu na rasę, zawód, zamożność i *gender*), jest zasadnicza: w znacznej mierze determinuje postępowanie jednostek; zło tkwi w strukturach społecznych, a w ostateczności spierają się ze sobą właśnie grupy: opresyjne z uciśnionymi.

Te klisze są marksistowskie, aczkolwiek już sam dobór owego „zastępczego proletariatu" zdaje się naznaczony piętnem postmodernistycznej kontrkultury. Przejawia się to w owym zamiłowaniu do tego wszystkiego, co jest lub przynajmniej może uchodzić za „zbuntowane", „szkaradne" (w oczach domniemanego konserwatywnego establishmentu), „marginalizowane". Stąd zainteresowanie nie tylko czarnymi czy kobietami, lecz także chorymi psychicznie, *lumpenproletariatem*, subkulturami, środowiskiem queer. W każdym z tych przypadków mamy do czynienia z iście gnostyczną (a tylko pozornie chrześcijańską z ducha) transformacją i transgresją, w której to, co odrzucone, ma stać się zaczynem nowego świata. Świata nie tyle bez dyskryminacji, ile raczej skoncentrowanego na ustawicznym jej rozpoznawaniu, obnażaniu i dekonstruowaniu. Jak zwykle więc rewolucja w miarę postępów może tylko przyspieszać.

FOT: wikipedia.commons

[1] W. Engelking, *Woke, czyli liberalna reformacja*, „Kultura Liberalna" 2022, 15 lutego, nr 684.

[2] T. Sawczuk, *Nagle wszystko stało się moralne*, „Kultura Liberalna", 2022, 26 kwietnia, nr 641.

[3] *Translations from the Wokish – New Discourses*, https://newdiscourses.com/translations-from-the-wokish/ (dostęp: 20.04.2022).

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/nowy-dyskurs-przebudzenia/

WSPÓŁTWÓRZ NOWY ŁAD

Za Nowym Ładem stoją czytelnicy, którzy dorzucają się do jego istnienia. Dołącz do nich — jednorazowo, w kwocie, która Ci odpowiada.

DOŁĄCZAM

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć